

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

R o d z i n a

NR 32 (110) ROK III

WARSZAWA 12. VIII. 1962

CENA 2 ZŁ



**WNIEBOWZIECIE
N. MARYI PANNY**



(1 do Koryntian 10, 6-13)

Bracia: Nie pożądamy złego, jako oni pożąдали. I obycie się nie stali balwochwalcami jak niektórzy z nich, jako napisane jest:

Zasiadł lud, by jeść i pić, i powstawszy zaczęli się bawić (Wyjśc. 32, 6).

Ani też dopuszczajmy się rozpusty, jak niektórzy z nich rozpusty się dopuścili i legło ich dnia jednego dwadzieścia trzy tysiące. I abyśmy nie kusili Chrystusa, jak niektórzy z nich kusili i poginęli od węzów. Ani nie szemrajcie, jak niektórzy z nich szemrali i zginęli z ręki niszczyciela. A to wszystko działo się im jako figura rzeczy przyszłych i napisane jest ku przestrodze dla nas, którzy żyjemy w tych czasach ostatecznych. Przeto kto mniema, że stoi, niech baczy, aby nie upadł. Pokusa nie jęła się was inna, jeno ludzka, a wierny jest Bóg, który nie dopuści kusić was ponad wasze siły, ale razem z pokusą da też i wyjście abyście ją przetrzymać mogli.



EWANGELIA

(Św. Łukasz 19, 41-47)

Onego czasu: Gdy się przybliżył Jezus do Jeruzalem i ujrzał miasto, zaplaakał nad nim, mówiąc: Gdybyś i ty poznało i właśnie w ten dzień twój to, co jest ku pokojowi twemu, a teraz zakryte jest przed oczyma twymi. Albowiem przyjdą na ciebie dni i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblegną cię, i ścisną cię ze wsząd, i na ziemię powalą ciebie i dzieci twe, które w tobie są, i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dlatego żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego. I wszedłszy do świątyni, począł wyrzucać sprzedających w niej i kupujących, mówiąc im: Napisane jest, że dom mój jest domem modlitwy, a wyście go uczynili jaskinią zbójców.

I nauczał codziennie w świątyni.

Nie zdajemy sobie czasem sprawy z tego, że liturgia prawie w każdej niedzieli widzi powtórzenie tajemnicy Paschalnej, może nie tyle w całkowitych jej obrzędach, ile w treści i uświadomieniu sobie tych prawd i łask, któreśmy na Wielkanoc odebrali. Lecz i po Wielkanocy walka nie ustaje. Św. Paweł w Lekcji daje nam ostre pouczenie: nie ludźmy się, że jesteśmy dobrymi chrześcijanami, ponieważ przyjęliśmy chrzest i bierzmowanie oraz do komunii od czasu do czasu przystępujemy. Nie nadużywajmy cierpliwości ani łaski Bożej, jak to czynił lud wybrany. Zaczniemy myśleć, czuć i żyć prawdziwie po chrześcijańsku, tak jak żąda od nas Jezus Chrystus, zwłaszcza, że nie znamy „czasu nawiedzenia naszego”, o którym mówi dzisiejsza perykopa ewangelijna. Gdyby człowiek był tylko ciałem, a pełny żołądek i rozkosz umysłowa jego celem — być może, że w takich warunkach nienawiść i brutalność byłyby wyborowymi środkami do zażycia tzw. szczęścia. Ale na szczęście tak nie jest! Człowiek ma duszę, która pragnie miłości. Jest to fakt dowiedziony. Sami nieraz przekonaliśmy się, że gdyby nie było tej miłości, przebaczenia, trudno byłoby powiedzieć, jakby się przedstawiał świat. Czyż trzeba się uciekać aż do wizji, żeby to uchwycić? Czyż dzisiejszy świat, pozbawiony w wielu wypadkach miłości przebaczącej, nie wtacza się powoli na niebezpieczne tory, które po pewnym czasie jazdy w przyszłość rozejdą się i cała masa ludzka wykolejona, zdruzgocze się i zmiesza z pyłem i krwią?

Może tak źle nie będzie, pocieszamy się, ale z drugiej strony robi się nam zimno pod skórą na tę myśl. I słusznie, bo tak mało jest przebaczenia wśród nas. Dlaczego tyle klótni w tysięcznych okolicznościach życia: W domu, na ulicy, w tramwaju, w kolejce, przy kasie biletowej, na rynku, w warsztacie i tyłu, tyłu okolicznościach? O! A jakież bogaty jest nasz słownik w bomby i śmiercionośne granaty, które mają spaść na naszych bliźnich. A dusze zioną trującymi gazami obmów i obelg, wyciskających łzy z oczu bliźnim naszym. „Poczekaj, pożałujesz”. Słyszysz się często.

Bóg, który patrzy na nas, gdyby mógł za-

plakalby jak Chrystus plakał nad Jeruzolimą. Ale on czeka. Jest zadziwiająco cierpliwy, a czas nawiedzenia trwa. Potem już tylko ruina zostanie.

Bo jeżeli ja przebaczam, to wypowiadam nie tylko to słowo, ale czynem, nastawieniem wewnętrznym dokumentuję swoje postępowanie. Wyrzucam z serca nienawiść, staram się urażę usilnie zapomnieć, co więcej: staram się być życzliwym wobec osoby, która mnie obraziła. Czyż takie usposobienie i załatwienie sprawy nie przyniosłoby nam więcej chwały? Powiadasz może: „Ja mu przebaczam, nie gniewam się na niego, ale mówić z nim nie mogę, bo mnie tak obraził, że mi słowo przez gardło nie chce przejść, aby się do niego odezwać. Już mu nieraz darowałem, tego już za wiele”. Nie ludź się! Nie jest to prawdziwe przebaczenie, jest to oszukiwanie samego siebie, bo powiadasz, że darujesz, przebaczasz, a z drugiej strony chowasz urażę w sercu do tego, z którym kiedyś przyjaźnie rozmawiałeś, albo przechodząc koło niego udajesz, że go nie widzisz, patrzysz wtedy po gzymsach kamienic i udajesz że oglądasz zabytki. Może się zdarzyć, bo jesteśmy ludźmi, że już nieraz bliźni zagrał nam, jak mówimy na nerwach; i raz i drugi darowaliśmy mu, ale trzeci raz, to za wiele. Jeżeli taka myśl opanuje twój umysł, przypomnij sobie scenę z Ewangelii, kiedy Piotr pyta Zbawiciela: „Panie, a ile razy mam przebaczyć bliźniemu memu, czy aż do siedmiu razy? — To za mało — odpowiada Zbawiciel. — Nie siedem a siedemdziesiąt siedem razy — zawsze, bo jesteś moim uczniem. Ja mieszkam w świątyni twego serca i byłoby mi przykro, gdybyś odrzucił swego brata i nie przebaczył mu; a ponadto pamiętaj, że co temu biednemu, ulomnemu bratu uczynisz, mnie przysługę wyświadczysz, pragniesz mnie z pewnością kochać i nie chcesz chyba, żebym wyszedł ze serca twego”.

Tak, Panie, Ty pozostań we mnie i raczej weź powróż, jak ongiś, i powyrzucaj ze mnie co złe i przewrotne, gdyż serce moje, które winno być świątynią Twoją, zamienilem swym postępowaniem na jaskinię zbójców.

Ks. Dr A. NAUMCZYK



ZAPROWADZMY POKÓJ MIĘDZY NAMI

Ludzie dobrej woli zjeżdżają się na kongresy, konferencje pokojowe i potępiają wojnę oraz tych wszystkich, którzy chcą innych zabijać, nie mając do tego żadnego prawa.

Ludzkość dąży do pokoju, pragnie pokoju.

Aby jednak ludzkość osiągnęła porozumienie i miecze przekuła na lemieszce, musimy pokój wprowadzić na swoim podwórku, w domu, w rodzinie, w sąsiedztwie, w miejscu pracy. Musimy wyeliminować „śmiercionośne pyły“, którymi na co dzień się posługujemy. Są to wszelkiego rodzaju ciosy słowne, tzw. „pyskówki“, donosy, kłamstwa, obmowy, oczerniania bliźniego.

Tęsknimy za pokojem. Tymczasem przeraża nas życie codzienne, przeraża statystyka spraw w sądach wszelkich instancji, które z „pyskówkami“ nie mogą się uporać. Rozpatrują je Kolegia Orzekające, społeczne sądy w zakładach pracy... I wszystkie sądy mają pełne ręce roboty. Bez przesady sądy możemy porównać do pralni. Piorą bowiem wszelkie brudy: ludzkie pomówienia, oszczerstwa, tony wyzwisk, bezmyślnych potwarzy, żalów i słów, które można nazwać zatrutymi strzałami, godzącymi w ludzkie serca. W serca bliźnich.

Przypomina mi się w tym miejscu opowieść starego profesora liceum, doskonałego pedagoga. Był to człowiek, który nadzwyczaj ukochał piękno mowy ojczystej. Zachwycał się poezją. Cytował z pamięci całe stronic Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Reymonta, Staffa, Asnyka. Doskonale znał gramatykę języka polskiego. U każdego, aż często do znudzenia, wylapywał błędy językowe i uczył, jak się pisać i mówić powinno. I właśnie on, pelen szacunku dla formy porozumienia się między ludźmi, dowiedziawszy się raz o oszczerstwie rzuconym przez jego ucznia na kolegę, całą godzinę lekcyjną tłumaczył znaczenie moralne słów, które wypowiedziano o bliźnich, słów, którymi wyrażamy swój stosunek do innych ludzi.

— „Wyobraź sobie, przyjacielu — mówił profesor — że wchodzisz na wysoką wieżę

i niesiesz ze sobą pierzynę. Jest wiatr. I naraż porwała ci się poszwa... Pierze leci na wszystkie strony, coraz dalej. Początkowo lecące piórka dostrzegasz, ale im bardziej się rozglądasz, tym ich więcej i więcej. Patrzysz i nie wiesz, dokąd wypuszczone na „wolność“ piórka lecą. Wypuściłeś je, lecz nie masz już możliwości i sił, by je przylapać i zawrócić do poszwy. Już ich nie pozbierasz...

Tak samo jest ze wszystkim, co mówimy o ludziach. Słowa krytyki, podejrzenia, słowa każdej oceny roznoszą się po świecie. Nie wlemy, dokąd je zaniesiemy, ani też wlemy do kogo dotrą. Nie wiemy, jaki użytek ktoś z nich uczyni i jak je kto przyjmie. Nie myślimy, że z pomocą takiego „piórka“ ptak zdola uwić gniazdo. Nie miejmy takiej nadziei i takich złudzeń. Zdajemy sobie sprawę, że nie każde nasze słowo o bliźnich nadaje się do budowania czyjegoś domku choćby i ptaszęcego. A mimo wszystko tak często posługujemy się słowami, które ludziom rozbijają spokój ich domu, ich życia...“.

Rację miał stary profesor. Przesłupstwo słowne, potwarz, oszczerstwo, kłamstwo; są to tzw. słowa zabójcze, które Chrystus Pan z całą stanowczością potępił, mówiąc: „Słyszeliście, że powiedziane było starym: NIE ZABIJAJ (Wyjśc. 20,13), a kto by zabił, będzie winien sądu. A ja powiadam wam, że każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A kto by rzekł bratu swemu „raka“ będzie winien Rady, a kto by rzekł „głupcze“, będzie winien ognia piekielnego“ (Mt. 5,23).

Czy jest więc rada, aby pokój zaprowadzić między sobą? Jest. Trzeba o bliźnich dużo mówić dobrze, życzliwie, uprzejmie, nle w „nerwach“. Ukazywać to, co w nich jest dobre, szlachetne, najlepsze, godne naśladowania. Niech takie słowa o bliźnich lecą w świat i niech niosą miłość, radują serca, sprowadzają uśmiech na oblicza, utrwalają pokój. „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie“ — mówi nasz Nauczyciel wieczny Jezus Chrystus

Ks. mgr E. KRZYWAŃSKI

NIE POBŁOGOSŁAWIMY!

W dniu, kiedy w Moskwie rozpoczęły się obrady Światowego Kongresu Pokoju, amerykańska ekspedycja nuklearna, dokonująca eksperymentów z bombami atomowymi w rejonie Wysp Bożego Narodzenia, wywołała eksplozję w Kosmosie, na wysokości ponad 500 km nad Ziemią. Ten wybuch wywołał zrozumiały protest i ogólnoswiatowe oburzenie. Na obu półkulach na wiadomość o eksplozji rozległo się wielkie wołanie: Precz z doświadczeniami nuklearnymi dla celów wojny zaborczej. Atom i energia atomowa w służbie ludzkości!

Sprawa pokoju powszechnego, wolności od strachu przed biologicznymi skutkami pocisków nuklearnych były przedmiotem drobiazgowych i manifestacyjnych obrad Światowego Kongresu Pokoju.

Rozbrojenie jest pilnym nakazem chwili. Spójrzmy prawdzie w oczy.

Nigdy jeszcze przygotowania do wojny nie przybrały tak niepokojących rozmiarów, jak obecnie. Według oceny autorytatywnych zachodnich uczonych-naukowców atomowych „potencjał śmierci nuklearnej“ we współczesnym świecie obliczany jest na 250 tys. megaton, co odpowiada 250 miliardom ton materiału wybuchowego o dużej sile zniszczenia, zwanego trójnitoluolu. Tak więc na każdego mieszkańca globu, i tego co posiada samochód, lodówkę i pralkę i tego, który żyje w surowych warunkach podbiegunowych, i w skwarnych piaskach Afryki i Australii — wypada „tylko“ 80 ton materiałów wybuchowych.

Na zbrojenia wydaje świat rocznie 120 mld dolarów. Stanowi to połowę inwestycji we wszystkich dziedzinach gospodarki naszego globu. Kwota ta sięga dwóch trzecich dochodu narodowego wszystkich państw słabo rozwiniętych pod względem ekonomicznym. Co 10 minut same tylko państwa, wchodzące w skład NATO, wydatkują na przygotowania wojenne aż milion dolarów.

Stany Zjednoczone Ameryki Płn. od 17 lat wydają fantastyczne sumy na produkcję wojenną. Ich ogólne wydatki sięgają rzędu 900 miliardów dolarów. Stanowi to sumę odpowiadającą kosztem II wojny światowej obu walczących stron.

Wścig zbrojeń pochłania olbrzymią ilość siły ludzkiej. Ponad 20 mln mieszkańców Ziemi znajduje się w szeregach sił zbrojnych bezpośrednio. W pracę na rzecz wojny wkłada swą energię ponad 80 milionów ludzi. 70% naukowców i pracowników nauki w ten, czy inny sposób, wykorzystuje się dla potrzeb wojskowych. W krajach zachodnich coraz bardziej realne staje się pochłonięcie przez militeryzm całego życia cywilnego.

Jakkolwiek nie spojrzymy na współczesny świat, to musimy stwierdzić, że nasza przyszłość jest zagrożona przez nieodpowiedzialnych ludzi, którym marzy się nieosiągalny podbój świata w drodze wojny, zbrodni powszechnej i powszechnego zniszczenia.

Nie byłibyśmy dziećmi Chrystusa Pana, gdybyśmy w tym dziejowym momencie, w którym ludzkość znajduje się na historycznym zakręcie — nie określili naszej zasadniczej postawy, wynikającej z naszego światopoglądu chrześcijańskiego, polskokatolickiego.

Jesteśmy przeciwnikami wojny. Odrzucamy wojnę, jako sposób regulowania sporów międzynarodowych. Odrzucamy wojnę, bo jest ona integralnym, śmiertelnym grzechem. Obrazą Przykazania Boskiego: nie zabijaj!

Nasi kapłani nigdy nie będą błogosławić samolotów z bombami atomowymi, lecącymi na podbój świata.

Myśl religijne

PRACA BOGA WE WSZECHŚWIECIE

Wśród jasnej nocy widzimy niebo gwiazdziste, które wydaje się być nieruchome. Astronom jednak wie, że tak nie jest, albowiem cały wszechświat nieustannie wiruje dokola własnej osi i pędzi z zawrotną szybkością w nieograniczoną przestrzeń. Olbrzymie słońca — gwiazdy obracają się dokola własnej osi, zaś około tych słońc krążą planety.

Wszędzie we wszechświecie widzimy ład i harmonię. Wszędzie widzimy życie. Jedne światy umierają, a na ich miejsce rodzą się nowe planety. I nic nie ginie we wszechświecie. Stare światy zamieniają się w materię gazowo-światelną, którą oglądamy pod postacią Drogi Mlecznej, zaś z materii gazowo-światelnej powstają nowe gwiazdy — nowe planety. I tak bez końca trwa ta ciągła przemiana materii we wszechświecie. I tak w nieskończoność trwa ten zawrotny ruch, który na zewnątrz widzimy raz pod postacią życia, to znów pod postacią śmierci, która jest nieuniknionym procesem ciągłości życia.

W tym wszystkim wyraża się twórczość Boga, który ani na chwilę nie przerywa swej pracy, bo gdyby ją przerwał — wszechświat przestałby nagle istnieć.

Kiedy więc słońce wschodzi i zachodzi lub księżyc ukazuje się na niebie, kiedy mrugają dalekie gwiazdy i pogrążają nas w zadumę i rozmarzenie, kiedy rozkwita czereśnia lub róża i pyszni się swą piękną barwą, kiedy lan zboża faluje na wietrze, kiedy skowronek wypiewuje swe trele, kiedy niebo chmurne rozcina srebrna błyskawica, a grom uderza o ziemię, kiedy bałwani się rozchukane morze... to — pracuje Bóg!

LECH SĄDOMIRSKI

(O.)

BITWA POD STUDZIANKAMI



W ulotce wydanej z okazji rocznicy bitwy pod Studziankami czytamy:

„W końcu lipca 1944 roku wojska 1 Frontu Białoruskiego dotarły do Wisły. 1 sierpnia 8 Armia Gwardii sforsowała rzekę pod Magnuszowem i zdobyła przyczółek między Pilicą a Radamką, który zagrażał tyłom 9 Armii niemieckiej. Dowódca jej, gen. Vormann, dążąc za wszelką cenę do likwidacji przyczółka, rzucił przeciwko niemu 17 dywizję piechoty, 45 dywizję grenadierów, 19 dolnosaksońską dywizję pancerną oraz całe lotnictwo, jakie miał do dyspozycji. Ataki skończyły się fiaskiem.

Wówczas od południa uderzyła na przyczółek pancerno-spadochronowa dywizja SS „Hermann Göring” świeżo przybyła z Włoch — 10.000 żołnierzy, batalion komandosów i przeszło 100 czołgów, a wśród nich najcięższe „Pantery” i „Tygrysy” oraz 70-tonowe działa pancerne. 9 sierpnia na styku 35 i 47 dywi-

zji piechoty esesmani przełamali front i zajęli wieś Studzianki...

12 sierpnia spadły pierwsze ciosy na hitlerowców ufortyfikowanych w Studziankach, w cegielni i na folwarku, lecz wsi nie zdobyto.

W nocy z 13 na 14 radziecka piechota zwarła kleszcze okrażenia na poprzedniej linii frontu.

14 sierpnia 2 pułk czołgów rozpoczął szturm Studzianek i w drugim uderzeniu zdobył wieś i folwark.

W bitwie pod Studziankami młodzi polscy pancerniacy zniszczyli 40 czołgów wroga i wraz z radziecką piechotą — 1500 jego żołnierzy. Straty własne wyniosły 65 zabitych, 192 rannych i 18 czołgów.

Bitwa pod Studziankami osłoniła Powstanie Warszawskie, uniemożliwiając rzucenie do walki przeciw stolicy choćby jednej frontowej dywizji. Zadecydowała również o utrzymaniu przyczółka, z którego w styczniu 1945 roku wyszła ofensywa 5 Armii, niosąc wolność Warszawie i Polsce”.

czołgów miażdżyły pozostałe jeszcze ślady życia. Nie ustawała krwawa pancerna bitwa, w czasie której doborowe oddziały niemieckie za wszelką cenę chciały zlikwidować utworzony tu przyczółek. Plany ich nie zostały zrealizowane. Kiedy front potoczył się dalej na zachód, ocalała ludność zastała na miejscu wsi ogromne cmentarzysko. Nie pozostał ani jeden dom, ani jedno zabudowanie gospodarskie. Tam, gdzie stały domy i drzewa, rozciągało się zryte pociskami i gąsienicami czołgów, pokryte popiołem, martwe pole. Tylko żołnierskie krzyże były śladami ludzkiego tutaj bytu.

Przed drugą wojną światową Studzianki były małą, biedną wioską, składającą się z kilkudziesięciu gospodarstw. Około wsi stały zabudowania folwarku, będącego częścią dóbr hr. Zamojskiego. Jeszcze dzisiaj część wsi, leżąca na miejscu folwarku, nazywana jest czworakami, chociaż po tych ostatnich ślad nawet nie pozostał. Wieś odsunięta od szlaków komunikacyjnych żyła własnym życiem. Licha, piaszczysta gleba, prymitywne metody uprawy, żelazny pług, jako jedyny wyraziciel postępu technicznego, wyznaczały miarę dobrobytu mieszkańców. Nic więc dziwnego, że niechętnie wraca się do tamtych czasów wspomnieniami.

Uboństwo szło w parze z zacofaniem. Wieś nie miała własnej szkoły, toteż ukończenie 7 klas szkoły podstawowej uważane było za ogromny sukces, którym nawiasem mówiąc, niewielu mogło się pochwalić. Normalnym zjawiskiem był analfabetyzm.

Sytuację wsi pogarszało ustawiczne rozdrabnianie i tak małych gospodarstw. Toteż każdy uciulany grosz przeznaczony był na zwiększenie gospodarstwa. Niewiele to pomagało, gdyż wzrastająca liczba ludności nie odpływała do innych zawodów.

Wybuch wojny i walki, jakie zostały pod Studziankami stoczone, pogorszyły i tak już złą egzystencję wsi. Okupacja niemiecka rozpoczęła się z całą brutalnością hitlerowskich metod panowania. Już w pierwszych dniach hitlerowcy zamordowali bestialsko 9 mieszkańców wsi. Na wpół żywe, pokłute bagnietami ofiary, wrzucano do dołu i zasypano ziemią. Ciężki okres okupacji i zaciekle walki w latach 1944 i 1945, wymazały Studzianki z mapy powiatu kozienickiego. Po wojnie trzeba było zaczynać wszystko od początku.

PARAFIA P. W. ŚW. ŚW. BEZIMIENNYCH MĘCZNIKÓW POLSKICH

W Studziankach był przed wojną kościół. Drewniany, wzniesiony ofiarą i wysiłkiem mieszkańców wsi — z myślą, aby wielokilometrową trasę do najbliższej parafii skrócić, a przez to ułatwić możliwość wykonywania praktyk religijnych.

Księżda jednak nie było. Władze Kościoła tłumaczyły to szczupłością parafii, brakiem środków na utrzymanie księdza, trudnościami, które wyrastały jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Studzianki jednak pragnęły księdza.

Kuria Biskupia sandomierska zweekała z obsługą parafii. Delegacje jeżdżąc z petycjami do Sandomierza powracały z niczym. Ostatnią jednak prośbę skierowali wierni nie do Kurii rzymskokatolickiej w Sandomierzu, a do Kościoła Polskokatolickiego.

I tak w roku 1951 powstała parafia polskokatolicka w Studziankach.

Z dumą i zadowoleniem dziś patrzymy na pracujących parafian. Pracują, zarabiają, są jakby współwłaścicielami. Z ich pracy powstają domy, izby szkolne, w których dzieci uczą się będa o świecie i życiu. W roku 1959 zdolność produkcyjna cegielni przekroczyła milion cegieł rocznie.

Parafianie ze Studzianek to ludzie duchowo i materialnie związani z Kościołem. Kościół Polskokatolicki jest dla nich wszystkim.

Dłatego zadowoleni są z życia. Dłatego radość i wesele gości im często na obliczu. Proboszczem i przewodnikiem ich życia codziennego jest ks. Eugeniusz Wielachowski.

Studzianki, dn. 10.VI.1962 r.

Redakcja „Rodziny”
Warszawa

Wielebny Księżę Redaktorze!

Do dnia dzisiejszego Studzianki zostały odbudowane i tętnią pełnią życia, co oczywiście w ogromnym stopniu wpłynęło na rozwój Studzianek, ich powagę w skali powiatu i województwa. Muszę jeszcze dodać, że wraz z podniesieniem prestiżu Studzianek, podniósł się prestiż naszej polskokatolickiej parafii. Biorę osobisty udział we wszelkich przejawach życia społecznego, kulturalnego, gospodarczego itp., już nie w ramach jednej wsi, parafii, gromady, ale w ramach powiatu.

W Studziankach: telewizja, Kronika Filmowa, dziennikarze — to stali goście a lądowanie helikopterów, przeloty eskadr honorowych itd. jest niemal chlebem powszednim. Aby nie być gołosłownym przytoczę, że o Studziankach (współczesnych i wojennych), parafii narodowej, o wszystkim co się u nas dzieje, pisali dziennikarze w ponad 250 artykułach i poważniejszych notatkach na łamach takich pism, jak: „Żołnierz Polski”, „Żołnierz Wolności”, „Głos Żołnierza”, „Wojsko Ludowe”, „Poznaj swój kraj”, „Turysta”, „Życie Warszawy”, „Życie Radomskie”, „Stowo Ludu”, „Stowo Powszechne”, „Trybuna Mazowiecka”, „Świat”, „Dziennik Ludowy”, „Tygodnik Kulturalny”, „Orka”, „Zielony Sztandar”, „Chłopska Droga”, „Płom”, „Przyjaźń”, „Express Wieczorny”, „Sztandar Młodych”, „Kurier Polski”, „Elpeżetowiec”, „Płomyczek”, „Na Przelaj”, „Gromada”, „Literaturna Gazeta”, „Prawda”, „Krasnaja Zwiezda”, „Znamja Pobiedy”, „Polska — Polska, Polen, Polando, Poland”, „Fakty i Myśli” (o atakach kleru rzymskokatolickiego na moją pracę społeczną), „Trybuna Ludu”.

W Studziankach przebywało wiele osobistości świata politycznego, kulturalnego, wojskowego i społecznego m. in. wicepremier Julian Tokarski, ministrowie, kilkunastu generałów, członków KC, kilkuset oficerów, przedstawiciele państw zaprzyjaźnionych, setki wycieczek cywilnych i wojskowych z całego kraju.

Naszą ambicją jest uczynienie ze Studzianek „współczesnego Grunwaldu” i wszystko przemawia za tym, że nasze plany zostaną w pełni zrealizowane. Oczywiście z wymienionymi osobistościami utrzymujemy dalsze kontakty.

W ubiegłych latach mieliśmy wiele uroczystości, w rocznicę bitwy frekwencja ludności wynosiła 1959 — 3000, 1960 — ponad 10 000, 1961 — ponad 4000. Urządzamy rajd motocyklowy, na który w ub. roku przybyło 1200 uczestników z województw: warszawskiego, kieleckiego, łódzkiego, lubelskiego i krakowskiego.

Wieś Studzianki otrzymała w ub. roku nadany własny herb — jako jedyna miejscowość w okresie powojennym.

W bieżącym roku odbędą się „Dni Studzianek”, w czasie od 8 do 14 sierpnia. W tym czasie odbędzie się zlot motocyklowy o nagrodę Ministra Obrony Narodowej, spotkanie uczestników bitwy przy współudziale wicepremiera Juliana Tokarskiego, wiele różnych imprez. Kulminacyjnym dniem będzie 12 sierpnia — niedziela. Spodziewany jest udział w obchodach XVIII rocznicy bitwy ok. 8—10 000 mieszkańców, oczywiście przy obecności różnych wysokich osobistości...

Ks. E. Wielachowski



Studzianki bożek wojny szczególnie sobie upodobał. W ciągu ostatniego stulecia nie było wojny, która nie przetoczyłaby się przez Studzianki. Były one klasycznym placem boju, na którym umierali żołnierze różnych narodowości, chociaż prawie nic już o tym dzisiaj nie przypomina.

Starsze pokolenie, pamiętające lata pierwszej wojny światowej, wspomina żołnierzy austriackich, niemieckich i rosyjskich, którzy kolejno albo zdobywali, albo tracili tę miejscowość, nie szczędząc jej pocisków armatnich, ognia i zniszczeń. Znacznie żywsze są wspomnienia z roku 1939, kiedy to niemieckie pociski zmiatały domy, drzewa i wszystko, co znalazło się na ich drodze.

Ukoronowaniem wszystkiego były lata 1944—45. Wtedy to nad wsią rozszalało się piekło. Na tę biedną ziemię dniem i nocą sypały się bomby i pociski. Gąsienice

Szkola zbudowana w Studziankach ze składek oficerów Wojska Polskiego



PIERWSZA KOMUNIA ŚW. W NASZYCH PARAFIACH

Pierwsza Komunia św. dzieci jest nie tylko wielkim przeżyciem dla dziecka przyjmującego do swego serca po raz pierwszy Boga ukrytego pod postacią chleba, nie tylko świętem rodzinnym, ale przede wszystkim parafialnym.

W parafiach polskokatolickich w całej Polsce do I Komunii św. przystąpiło setki dzieci. Niektóre parafie do naszej Redakcji nadesłały zdjęcia z owej doniosłej parafialnej uroczystości.



I Komunia św. w Szczecinie



Uroczystości I Komunii św. w Bolesławiu



I Komunia św. w Ciepłuchach-Zdroju

WNIEBOWZIĘTA

1.

Mgły białe,
Jak mleczne wodorosty
Kłębiły się u brzegu polnych strumieni.
Dniało.

Porozkwitały gwiazdy rumianku
Na pobliskiej łące.
Zanim w blaskach sierpniowego poranka
Szept listowia zwiastował
Wschód słońca.

I już wiatr jak srebrna muzyka
Wraz z zapachem kwiatów przenika
Źródła chłodne i lasy jodłowe
W letnim brzasku sierpniowym.

2.

Już się zbliża polem
W słońcu obleczona,
Szaty na Niej białe
Z gwiazd srebrna korona.

Jako księżyc piękna,
Tak śliczna i słodka,
Jako róża polna,
Jako lilia wiotka.

3.

Maryjo Panno.

Matko Syna.
Oblubienico Ducha.
Najbliższa naszemu sercu
— racz nas wysłuchać.

O, jakże piękne i wzniosłe
— są słowa Twoje:
„Który mnie stworzył,
Odpoczął w przybytku moim”.

I w dziele Boga Jej dziedzictwo,
A w pełni świętych Jej przebywanie
Wyniesiona jest w górę jako drzewo —
cyprysowe

I jako cedr na Libanie.

4.

Maryjo Panno.
Matko syna.
Oblubienico Ducha.
Najbliższa naszemu sercu
— racz nas wysłuchać.

Maryjo.
Niech nadal miłość Twoja
Strumieniem łaski
Przepływa przez życie nasze,
Darząc je blaskiem
Nieba.
Ty — która w świętości i łasce królujesz,
To dla Twej chwały

Radują się zastępy aniołów
I rozbrzmiewa śpiew anielski,
Błogosławiąc Pana.
Alleluja.

5.

A my wśród doczesnych spraw ziemi,
Jak często odbiegamy od nieba.
Jako niewiasta Maria wokół siebie
zatraskana
Podczas gdy nam — jednego potrzeba.
Zaskarbić łaskę miłości
Twą wiekiustą chwałę.
Maryja najlepszą cząstkę obrała
Która od Niej nie będzie odjęta.

Córko Syjonu.
Matko niebieskiego tronu.
Cała jesteś śliczna i słodka
Jako róża polna.
Jako lilia wiotka
O, wniebowzięta.

6.

Racz pogodą ducha i męstwem
W pracy gorliwej
Zawsze nam sprzyjać.
O, Ty najbliższa sercu naszemu.
— Zdrowaś Maryjo.

JÓZEF BARANOWSKI



NAJŚWIĘTSZA PANNA

Droga Niebios
droga gwiazd
nieskończona jak przestrzeń
jak czas
niezbędna do życia jak

trójkątem słońce
i mgławic

Oto Najświętsza Panna
rozświetla noc
nie jako grom
co zabija
i razi
i pali

Idzie z niebieskiej dali
po słonecznych promienach

schodzi na ziemię
Matka stworzenia

Hosanna!

W majowe poranki
odwiedza polskie strzechy
kwiaty jarzębiny
czerechwy

W wieczory letnie
w uroczyste niedziele
odwiedza kapliczki przydrożne
słucha modlitwy dzwonów
pieśni nabożnych
w Polskim Kościele

LECH SĄDOMIRSKI



Stojąc obok dziewczyny, która, przy akompaniamencie strzałów i huków bomb, wyznała mu swą miłość, przebiegał myślą ostatnie kilka lat swego życia. Przypomnił sobie jak to kończąc studia seminaryjne chciał się dalej poświęcić nauce. Miał wielki zapal do nauki. Każda książka była dla niego pasjonującą lekturą. Teraz, w czasie wojny, wszystko, wszystko to minęło. Książki odeszły z horyzontu jego. Na ich miejscu pojawił się żywy człowiek jako szczególnie, i bliższy sercu i duszy obiekt zainteresowań. Pojawiała się masa ludzka, zaisierzone młodych tętnących rytmem krwi serc.

Zmarszczył brwi. Przed jego oczyma zaczął tryskać płomień uczuć, pragnień i dążeń ludzkich niby rwący potok górski, gdzieś w górze swego biegu dawniej zahamowany, z tym większą siłą i gwałtownością rwący obecnie naprzód. Widział obecnie zamiast książek tych dwudziestoletnich, czasami nawet jeszcze młodszych szaleńców walki, tych dziecięcych żołnierzy zajmujących się likwidowaniem zbyt dokuczliwych przeciwników, te dziewczęta umiejące kochać i walczyć. Zdumiewający nowy świat, świat niosący tysiące niespodzianek każdego niemal dnia.

W jego wyobraźni przesuwali się i znikali młodzi chłopcy, młode dziewczęta. szare mury i ulice walczącej Warszawy. Wszystko tonęło w szczękę peemów i w łomocie granatów. Po Warszawie krążyła dumna i zwycięska śmierć. Stosy walących się kamienic grzebały żywym ludźmi. Świszczące odłamki rwały na strzępy młode ciała. Coraz więcej szczątków ludzkich musiał grzebać na podwórzach, ogrodach, chodnikach. Jakże trudno było coś powiedzieć nad świeżym grobem, w którym koledzy pochowali młodego człowieka. A tymczasem ogień — ze swą siostrą — śmiercią szedł przez miasto i trawił wszystko — domy i ludzi, nawet sterty wartościowych książek i rękopisów...

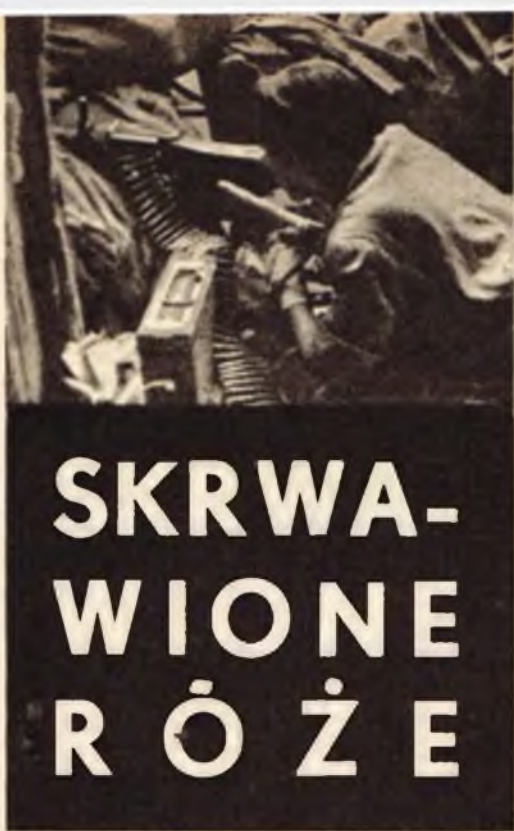
Spojrzał na młodą łączniczkę Marylkę. Uśmiechnął się. Ogarnął ją ramieniem. Ona bez oporu przytuliła się do niego.

Miłość. Jakże dziwaczne, ale i potężne uczucie! Przebywając z dala od życia szarego, które dogłębnie poznał w tym rozszalałym wirze walki, sądził, że to uczucie można zagłuszyć pracą twórczą, rozmachem wiedzy. Wojna jednak przekonała go o czymś zupełnie innym — o niepojętej sile miłości, wybuchającej między ludźmi w niepojętych okolicznościach. Dla niej świat zewnętrzny ze swym tragizmem nie był przeszkodą.

W powietrzu rozległ się tak dobrze znany wszystkim ryk samolotów nieprzyjacielskich. Nadleciało bardzo blisko i nisko kilka Messerschmittów i zaczęło rzucać bomby i ostrzeliwać miejsce, gdzie odpoczywali „żołnierze” kapitana Mokrzyckiego po nieudanej wyprawie na stanowisko niemieckie. Messerschmitty krążyły i siekły z broni pokładowej po ludziach, którzy gdzie mogli kryli się i osłaniali.

Samoloty szybko oddaliły się. Nagle z dołu dobiegł ich świst gwizdka. To kapitan Mokrzycki wzywał wszystkich do siebie.

— Sanitariusze! Nosze i zbierać szybko rannych! — zawołał kapitan. Tam, w tej dużej wysokiej kamienicy byli nasi ludzie z plutonu Edmunda. Widziałem, jak bomba trafiła w ten dom i osunęła się ściana!...



Na podwórzu zrobił się ruch. Sanitariusze i wolni w tej chwili żołnierze, przerzucając karabiny na plecy, biegli w stronę wskazanego domu, kryjąc się, by nie być zauważonym. Za nimi pobięła również Maryla.

Dobiegli do wskazanego miejsca. Byli mokrzy od potu, krew biła im mocno w skroniach. Zrujnowany i rozwalony dom ział grozą.

Nagle ukryty wśród ruin po przeciwnej stronie ulicy niemiecki karabin maszynowy zaczął pluć do nich gradem kul. Przywarli do ziemi. Leżąc starali się podczołgać za jakiś wyłom lub kupę gruzu i cegieł, by mieć jakąś osłonę przed świszczącymi kulami.

Ogień z niemieckiego karabinu maszynowego uciął na chwilę. Sanitariusze i zdrowi chłopcy wykorzystali ten moment i zabierając rannych wycofali się spod ostrzału.

Na końcu za wszystkimi z granatem w jednej i z pistoletem w drugiej ręce wycofał się plutonowy Edmund Skórzewski, którego ukryta za dużym kamieniem obserwowała jego kuzynka Maryla... Kaem znowu zajazgotał. Edmund miał uczucie, że ktoś mu nogę podstawił. Padł ciężko na twarz między gruz. Od razu chciał się dźwignąć, ale nie mógł.

— Dostałem w nogę... — wyszeptał.

Ktoś przypadł do niego. Była to Maryla.

— Mundku, ty jesteś ranny! — zawołała.

Wierzchem dłoni otarł pokrytą pyłem twarz.

— Psiakość, tak!... — rzekł — ale uciekaj, bo jeszcze ty dostaniesz. Uciekaj i donieś kapitanowi, że w piwnicy jest przywalonych pięciu chłopaków...

— Mundku, ja cię nie zostawię! — zawołała.

Chwyciła go pod ramiona.

— Wesprzyj się na mnie i wycofujemy się, dopóki nie strzelają.

Próbował z całych sił, ale za każdym razem opadał z powrotem. Po wielkich wysiłkach przemógł ból, szarpnął się i stanął na nogach. Uszedł dwa kroki i znowu się osunął, bo na lewej nodze w ogóle nie mógł stać.

— Nie mogę... — wyszeptał.

Maryla rzuciła dokoła rozpaczliwym spojrzeniem. Ogarnął ją lęk. Najchętniej pobięłaby po pomoc, ale nie chciała kuzyna zostawić samego. Chwyciła Edmunda pod ramiona i zaczęła go wlec po ziemi. On się poddawał i jęczał z cicha. Unosiła go w stronę ogródka, gdzie było pełno kwitnących róż. Wciągnąwszy rannego między krzaki położyła go na ziemi i ciężko oddychając wychyliła głowę, chcąc przywołać jakąś pomoc. Rozejrzała się dokoła. Nagle w otworze okna domu,

spod którego uciekała unosząc z trudem ciężko rannego Edmunda ujrzała Niemca. Niemiec ją również zauważył. Zanim zdążyła się ukryć padł strzał i dziewczyna powoli osunęła się na rozkwitniętą pięknie krzak róży.

— Marylka! — zawołał Edmund widząc padającą z wolna kuzynkę.

Poruszyła się lekko i spojrzała błędnym wzrokiem na leżącego kuzyna.

— Mundku... wyszeptala... — powiedz wszystkim że ich... Kocham! Pożegnaj ode mnie... jeże i będziesz żył.. moja mamę... Basię... was... Pożegnaj Franciszka, księdza Franciszka!... Powiedz, że go mocno... mocno... Kocham i nadal będę...

— Marylko! — zawołał Edmund.

Ona poruszyła się lekko, zacisnęła kurczowo dłoń i głowa jej opadła. Umarła.

Edmund, leżąc, rozplakał się po utracie swej kochanej kuzynki. Długo spoglądał na jej ciało, zawisłe na krzaku róży. Z piersi spływała obficie krew, płamiąc zielone liście róży i piękne pachnące kwiaty.

— Po jakimś czasie, gdy wszystko ucichło, Edmund, leżąc na ziemi, wyjął z kieszeni pistolet i strzelił do góry trzy razy wzywając pomocy.

Po kilku minutach w różanym ogrodzie zjawili się czterej sanitariusze. Odnaleźli rannego, a przy nim nieżyjącą już ich łączniczkę Marylkę. Uklękli na jedno kolano, odkryli głowy i delikatnie ułożyli na noszach ciało zabitej. Na drugich zaś ułożono rannego plutonowego Edmunda. Któryś z sanitariuszy zerwał kilka skrwawionych gałązek róży i położył na zboczonych krwią piersiach Maryli.

Po zejściu się wszystkich kapitan polecił porucznikowi Skórzewskiemu zrobić apel, by zorientować się w stanie ludzi.

— ...Pięciu nie żyje, siedmiu jest rannych... — meldował dowódcę porucznik.

Skórzewski nie mógł wypowiadać tych straszliwych słów „nie żyje”... „rannych”... bo jego krewniaczka wśród czterech żołnierzy leżała zabita a na piersi jej spoczywały skrwawione róże. Wśród rannych zaś był jego syn Edmund.

Wirowało mu w oczach, w głowie szumiało, gdy powtarzał te słowa: „pięciu nie żyje... siedmiu jest rannych”...

Rannych opatrzone i kapitan trzech z nich, między innymi plutonowego Skórzewskiego, polecił przenieść do szpitala. Lżej ranni nie chcieli iść leżeć, chcieli walczyć. Dalej zostali ze swoimi. Dla zabitych wykopano pięć dołów w ogródku pod dużą jabłonią. Pięć ciał w nich złożono.

Kapitan Mokrzycki stanął nad ich grobami i po krótkim pożegnalnym przemówieniu powiedział:

— Polegli za sprawę Ojczyzny:

- 1) Mariola Sieradzka — łączniczka,
- 2) Władysław Górecki — strzelec
- 3) Bolesław Wawrzyniak — kapral
- 4) Kazimierz Waszczeniuk — strzelec
- 5) Arkadiusz Zajder — plutonowy.

Cześć ich pamięci!...

Potem wystąpił ksiądz Franciszek i zaczął mówić o ich bohaterstwie, dla którego w obronie Ojczyzny oddali swe młode życie. Ofiara ich z pewnością przez Boga będzie przyjęta i wynagrodzona... Mówił, lecz głos mu się załamywał, bo jeszcze w uszach brzmiało mu trwożliwe pytanie Maryli czy będzie zbawiona, gdyby w tej chwili umarła. czy miłość do kogoś jest grzechem? Wreszcie oświadczenie, że go kocha.

Swoje krótkie, lecz i dla niego, bolesne przemówienie zakończył słowami:

— A teraz pomódlmy się za świętej pamięci zmarłych kolegów i koleżankę Marylkę, by Bóg darował im winy życiowe, by przyjął ich ofiarę życia złożoną na świętym ołtarzu ojczyzny, odmawiając w tej intencji Ojciec nasz, Zdrowaś Maryjo i trzy razy wieczny odpoczynek.

SMUTNE DZIECIŃSTWO

Minęło kilka tygodni. Pola srebryły się dojrzałym zbożem. Mieszkańcy wsi przystąpili do pierwszych po wojnie żniw. Błyskały w słońcu kosi, mieniły się różnymi kolorami chustki kobiet wiążących snopki, w powietrzu rozbrzmiewały śpiewy ludzkie i świergoty ptaków. Od czasu do czasu spokojny nastrój pracy zakłócał jakiś pojedynczy wystrzał lub kanonada z automatów. Ludzie prostowali wówczas karki, przyslaniali ręką oczy i patrzyli trwożnie na ciemną ścianę lasu.

Pewnego dnia, już po zachodzie słońca, wpadła do wioski ciężarówka wypełniona żołnierzami. Wielkie było zdziwienie mieszkańców, kiedy zobaczyli, że wojskowi pomagają wysiąść z niej Gorzeckiemu, Danusi i Kruczkowi. Samochód ruszył dalej, wzniesając za sobą tuman kurzu, a wokół starca i jego wnuczki momentalnie zebrał się tłumek ciekawych.

— Opowiadajcie dziadku, gdzie i w jaki sposób odnaleźliście i odebraliście dziecko — padały pytania.

— To nie ja, to Kruczek ja odnalazł. Gdyby nie on, przeszedłbym obok dziewczynki nie widząc jej. Kochane psisko zajrzało przez furikę w płocie na czyjeś podwórko i za chwilę wybiegło stamtąd razem z Danusią. Nie wyobrażacie sobie ludzkie, jak się wnuczka ucieszyła zobaczywszy nas. Nie namyślałem się długo. Wzięłem ją na ręce i jakby ubył mi kilkadziesiąt lat, pobiegłem z nią przed siebie. Na szczęście w Włoszczowie był jarmark. Kto by nas tam znalazł w takim tłumie ludzi. W kierunku naszej wsi jechał wóz wojskowy. Żołnierze podwieźli nas. Ot i wszystko.

Danusia, ubrana w nową sukieneczkę biegła na swych krzywych nóżkach wokół chylącej się ku ziemi chałupy i wydawała z siebie okrzyki radości.

— Patrzcie ludzie, jak dziecko ładnie jest ubrane — odezwała się jedna z bab — Kto wie, czy nie wyrzadzicie stary krzywdy wnuczce, zabierając ją do siebie. Tam być może miałyby lepsze życie...

Stary Gorzecki spuścił głowę i nic nie odpowiedział. Danusia, która widocznie usłyszała słowa kobiety, zawołała:

— Dziadziuśiu ja chcę być z tobą i psem Kruczkciem.

— Nikomu cię dziecko nie oddam, nikomu — wyszeptał dziadek, tuląc dziewczynkę do siebie.

Ludzie zaspokoiwszy swoją ciekawość, rozeszli się do chałup.

Wesoło upłynął ten wieczór w ruderze Gorzeckiego. Jej mieszkańcy po raz pierwszy od wielu dni usnęli spokojnie.

W miesiąc później znów zjawila się we wsi młoda Gorzecka. Z furją wpadła do domu i zawołała:

— Kogo ze mnie robisz? W wstępnym dziadzie? Oszusta? Szubrawca? To mnie posiadają teraz dobroczyńcy Danusi o wyludzenie futra i pieniędzy, i podstępne odebranie im

dziecka. Chodź tu córko, odprowadzę cię do twych nowych opiekunów.

Danusia zaplakała rozpaczliwie i przytuliła się do dziadka. Matka starała się ją oderwać od niego. Gorzecki wychyliwszy się przez okno, zaczął wołać:

— Ludzie na pomoc, ludzie ratunku!

Właśnie ulicą przechodził nowy komendant posterunku MO.

Usłyszawszy wołanie o pomoc, wyciągnął z kabury pistolet i pchnął drzwi do chałupy.

— Panie komendancie — błagał starzec — niech pan ratuje to dziecko, niech pan nie pozwala wyrodnej matce handlować własną córką...



Komendant schował broń, uklonił się ironicznie Gorzeckiej i rzekł:

— A dzieć dobry pani. Myślałem, że to bandyci napadli na staruszkę. Świetnie się składa, że się spotykamy. Na kilka godzin przed śmiercią sierżant Gawrysek powierzył mi sprawę odszukania porwanej i sprzedanej obywatelki Danuty Gorzeckiej. Pilne sprawy przeszkodziły mi w wywiązaniu się z tego zadania, ale teraz właśnie mam trochę wolnego czasu, proszę więc o udanie się ze mną na posterunek. Porozmawiamy sobie, zapiszemy co trzeba i to, co napiszemy wyślemy gdzie trzeba.

Na twarzy wyrodnej matki odmalował się strach.

W dwie godziny później stary Gorzecki widział, jak jego córka opuściła posterunek i poszła drogą do miasta. Od tej chwili na długi czas wszelki słuch o niej zaginął.

Latem 1947 roku Gorzecki nagle zaniemógł. Okropny ból pod prawym żebrem położył go do łóżka. Danusia z płaczem pobiegła do ludzi prosić ich o pomoc. Soltys po naradzie z kilku gospodarzami postanowił sprowadzić do chorego lekarza na koszt wioski. Lekarz przyjechał, zbadał uważnie staruszkę, a potem powiedział soltysowi, po cichu, aby dziecko nie słyszało:

— Warto by go dla formalności odwiedzić do szpitala, ale 'o i tak nie pomoże. Dłużej jak miesiąc nie pożyje. Na wstróbie gołą ręką można wyczuć raka.

Była niedziela. Kończyła się właśnie Msza Święta. Proboszcz pięknie mówił o miłości bliźniego. Parafianie szczerze wypełniający kościół, nabożnie słuchali słów swego duszpastera — być może — konfrontowali je z własnym postępowaniem. Kiedy ksiądz skończył kazanie i zszedł z ambony, rozległ się nagle czyjś głos:

— Ludzie, nie rozchodźcie się, poczekajcie.

Ku zdumieniu wszystkich na ambonie wdrapał się stary Gorzecki. Przez kościół przebiegł szmer zgorszenia. „Świecki człowiek, żebrak na mównicy Pańskiej!” Ksiądz zupełnie stracił głowę i nie wiedział, jak zareagować na ten bezprzykładny w dziejach parafii wyskok. A tymczasem stary mówił:

— Ludzie, błagam was na krew Chrystusa, Pana naszego, zaopiekujcie się moją dzieciną, nie dajcie jej zginąć z głodu i chłodu. Oto ja odchodzę z tego świata i nie mam jej komu zostawić. Matka ją porzuciła, ojciec się jej wyparł...

Stary nagle umilkł. W tłumie pod amboną dostrzegł Bieleckiego. Stał blady i skamieniały ze wstydu. Gorzecki skierowawszy weń duży palec prawej ręki, zagrmiał:

— Tak, wyparłeś się własnej córki. Pozwoliłeś, by żyła na żebraczym chlebie, choć sam oplywasz w dostatkach. Beztrosko patrzyłeś, jak nędza gięła jej nóżki. Kubka mleka jej żałowałeś. Bóg cię ciężko ukarze.

Danusia uczyła się dziadka i plakała spazmatycznie. Trzeba ją było siłą odrywać od umierającego, aby umożliwić kapłanowi dokonanie ostatnich namaszczeń. Ale stary Gorzecki jeszcze nie umarł. Po kilku dniach nastąpiła nawet pewna poprawa w jego zdrowiu, tak że mógł rozmawiać z wnuczką i z ludźmi, którzy przychodzili go doglądać. Wszyscy, jak mogli, pocieszali konającego. Komendant posterunku przyrzekł, że jak tylko zlikwidują bandę „Lwa Czarnego“, która nęka całą okolicę i nie pozwala władzy zająć się pokojowymi problemami, to z urzędu poczyni starania o umieszczenie Danusi w Państwowym Domu Dziecka. Soltys zapewniał starca, że jego wnuczka dozna opieki całej gromady. Sensację w wiosce wywołało postępowanie starej Bieleckiej. Z jej synem-jedynakiem było coraz gorzej. Stracił zupełnie siły i albo bez przerwy niemal przepompowywał przez siebie wodę, albo popadał w długi sen, z którego trudno go było obudzić. Bielecka twierdziła wszystkim, że jej syn choruje na skutek uroków i przekleństw rzuconych na niego przez Gorzeckiego, który chciał nie wiadomo czyjego bachora podrzucić, jak kukułcze jajko, do dobrej i zamożnej rodziny. Początkowo odgrażała się starcowi i jego wnuczce, ale w miarę postępu choroby syna, ogarniał ją lęk. Wszak choroba ta poczynała gwałtowne postępy po przekleństwie rzuconym przez żebraka z ambony. Może jednak jest w tym karząca ręka Opatrzności? Przecież Janek sypiał z tą ladacznicą...

Pewnego wieczoru Bielecka przybiegła do chałupy Gorzeckiego z wielkim szlochom. Rzuciła na łóżko chorego duży plik pieniędzy i zawołała:

— Odwołaj przekleństwo. Zlituj się nad mój jedynakiem. Wynagrodzę cię i twoją wnuczkę. Zbogacę was. Przysięgam na zbawienie mego syna, że po twojej śmierci przygram Danusię do siebie, jak własne dziecko. Tylko odwołaj, na litość Boga odwołaj...

Gorzecki chciał coś powiedzieć, ale siły opuściły go zupełnie. Poruszał tylko bezdźwięcznie ustami. Może się modlił na intencję ojca Danusi?

Nagle od progu odezwał się ksiądz proboszcz, który przez uchylone drzwi słyszał prośby kobiety?

— Głupia, ciemna babo, czy ty naprawdę sądzisz, że zwykły śmiertelnik może słowem wpędzić chorobę w drugiego człowieka? Na co jeszcze czekasz? Leć, zaprzęgnij konie i sprowadź do syna lekarza. No już, ruszaj się...

Bielecka zawahała się. Nie wiedziała, czy zabrać pieniądze rzucone w afekcie staremu żebrakowi, czy też nie. Widocznie jednak powstydzila się proboszcza, bo zostawiła je i wybiegła z izby.

Lekarz przyjechał do Bieleckiego nazajutrz rano. Wszedłszy do pokoju, gdzie twardej smem spał chorego, pociągnął kilkakrotnie nosem i rzekł:

— Ależ tu śmierdzi acetonem.

Powachał usta śpiącego i dodał:

— Oczywiście, to stąd wydobywa się ten obrzydliwy zapach, o! nie-dobrze, niedobrze. — Od dawna tak spi?

— Już prawie dobie.

— Kiedy zaczął chorować?

— Jakieś dwa, trzy miesiące temu poczał nagle tracić siły. A taki był zdrowy. Nigdy nie chorował. Potem chudł na oczach. Ratowałam go jak mogłam. Zabijałam świniaki. Karmiłam go najtłustszymi kawalkami mięsa, jajami, serami, śmietaną. Tłny na takim jedzeniu utyłby jak beczka, a on, mój jedynak, zamienił się w szcypę. Na dodatek zaczął pić tę nieszczęsną wodę. Mówię, panu, panie doktorze, że to czary żebraka Gorzeckiego.

TA

Radują się zastępy aniołów
I rozbrzmiewa śpiew anielski,
Błogosławiąc Pana.
Alleluja.

5.

A my wśród doczesnych spraw ziemi.
Jak często odbiegamy od nieba.
Jako niewiasta Maria wokół siebie
zatroškana
Podczas gdy nam — jednego potrzeba.
Zaskarbić łaskę miłości
Twą wiekuiścą chwałę.
Maryja najlepszą cząstkę obrała
Która od Niej nie będzie odjęta.

Córko Syjonu.
Matko niebieskiego tronu.
Cała jesteś śliczna i słodka
Jako róża polna.
Jako lilia wiotka
, wniebowzięta.

6.

Łącz pogodą ducha i męstwem
W pracy gorliwej
Zawsze nam sprzyjając.
, Ty najbliższa sercu naszemu.
- Zdrowaś Maryjo.

JÓZEF BARANOWSKI



NAJŚWIĘTSZA PANNA

Droga Niebios
droga gwiazd
nieskończona jak przestrzeń
jak czas
niezbędna do życia jak
powietrze
frójkątem sięga słońc
i mgławic

Oto Najświętsza Panna
rozświeła noc
nie jako grom
co zabija
i razi
i pali

Idzie z niebieskiej dali
po słonecznych promieniach

schodzi na ziemię
Matka stworzenia

Hosanna!

W majowe poranki
odwiedza polskie ślrzechy
kwiaty Jarzębiny
czeremchy

W wieczory letnie
w uroczyste niedziele
odwiedza kapliczki przydrożne
słucha modlitwy dzwonów
pieśni nabożnych
w Polskim Kościele

LECH SĄDOMIRSKI

M Ł Y N W Z A P Ł A - T O W I E

Ależ chłopcze! — krzyknęła ciotka Anastazja w najwyższym oburzeniu, przy czym na jej zwiedłej ale miłej twarzy malował się wielki gniew — czy ty sobie zdajesz sprawę, jaką wyrządzasz krzywdę? Czy ty się Boga nie boisz?

— Ach, wszystkie argumenty cioci grawitują, jak zwykle, ku religii — odparł przystojny młodzieniec oparty niedbale o framugę drzwi mając zapewne zamiar zaraz stąd wyjść. — Czemuż tę sprawę bierze ciocia tak tragicznie?

— Jakże nie mam jej brać tragicznie! Krzywdzić młodziutkie dziewczę i przejść nad tym do porządku, tak jak ty! Zhańbiłeś ją i rzucasz! Dziewczyna znajduje się w poważnym stanie... Wstaw siebie w jej położenie!

— Wstawiam się i nie będę żalował na to pieniędzy... Potem, mam nadzieję, pocieszysz się szybko...

— Cynik bezwstydy! I pomyśleć, że to ja cię wychowałam, ja zastępowałam ci matkę, nie przypuszczając nawet na chwilę, jaką robaczywą masz duszę! Nie, to tak być nie może! Ożenisz się z tą dziewczyną!

— Ha! Ha! Ha! Ciocia dobra sobie!... Powiedziałem już co do tego swoje zdanie.

— To takie młodziutkie stworzenie! Zbalamuciłeś ją i rzucasz!

— Czemu się zatem dała zbalamucić? — Nie dziwi się temu! Zbyt młoda! Kochała cię też na pewno, ufała ci. A ty, swoimi słówkami, obietnicami...

— Nie obiecywałem niczego! Jestem z sobą w porządku!

— O! — gniew ciotki Anastazji wzmógł się znacznie — jesteś z sobą w porządku, z tą krzywdą, która kamieniem zapadnie ci w duszę i tłoczył będzie przez całe życie! Ja ci to powiadam! Krzywda, mój drogi, odskakuje zawsze z powrotem, trafiając w jej sprawcę jak w celny cios, prędzej czy później! Niedobrze jest żyć z ciężarem winy w sercu, Andrzej... Napraw ją, póki czas... Bóg liczy czyny ludzkie...

Rozmowa ta wszakże nie przekonała Andrzeja. Szedł w chwilę później, pogwiżdżając, stromą drogą ku miasteczku, bynajmniej nie wzruszony. Ciotka Anastazja spoglądała za nim przez okno, poruszona aż do łez. Oto nie dalej, jak godzinę temu przybiegła tu ta nieszczęsna dziewczyna, młodziutka, uroczą Helenką, zapukała do drzwi nieśmiało i wsunawszy się do pokoju równie nieśmiało, stała chwilę w milczeniu z opuszczoną na piersi głową, a potem zakrywszy twarz dziewczyną jeszcze rękoma, upadła na kolana przed nią w placu okrutnym. Kuląc się na ziemi tak nisko, że jasnymi swymi warkoczami dotykała jej stóp. Jęła opowiadać, co to się stało...

„Szukało biedactwo u mnie ratunku — szeptała ciotka, rozmyślając znów od nowa nad tym wszystkim — ach, Boże, Boże, jakże tu pomóc?”

Dni nizały się na tygodnie. Andrzej w swym nieuczciwym postanowieniu pozostał niewzruszony. Helenki unikał, gorzej wyraźnie okazywał jej wzdąrgę.

Młodziutka dziewczyna żyła w okrutnej rozpaczce.

Pewnego dnia znikła. Przepadła jak liść jesienny, który wiatr poniosł nie wiadomo gdzie. Daremnie poszukiwała jej matka.

Odnalazł ją mały chłopiec pasący krowinę nad rzeką — zobaczył uwikłane złote splety w nadrzecznym sitowiu — młodziutka Helenka, odebrała sobie życie. Odprowadziło ją na wieczny spoczynek całe niemal miasteczko — lubili wszak wszyscy cicha, pełną uroku, jasnowłosą Helenkę...

Nie było tylko Andrzeja.

Krąg zła zatoczył szersze koło. Matka dziewczyny, uczynna Elżbieta dostała pomieszania zmysłów. Z nadmiernego bólu, którego serce jej pomieścić nie mogło. Biedaczka chodziła po ulicach miasteczka gadając do siebie, opuszczona, zaniedbana — pośmiewisko uliczników. Najczęściej

można ją było spotkać nad rzeką. Stała w tym miejscu, w którym ongiś znalazłono jej dziecko, nawołując jedynaczkę skarżącym się, łzawym głosem, zawsze jednako:

— Helenkooo! Helenkooo! Chodź, córuchno, do domu! Wieczór zapada!...

Przebiegły lata.

Za miasteczkiem, nad zaplątową rzeką, w miejscu, kędy ta zakręcała w półkole, wyrósł młyn, trzęsąc się i turkając w swej nieustannej pracy.

Za młynem, na wzgórkach zjawił się wnet ładny, murowany domek o dużych oknach, pod którymi kwitły wiosną i latem barwiste kwiaty na grzędach. Zamieszkiwał go Andrzej Niegodnicki z rodziną.

W tej chwili siedział na ławce przed domem, spoglądając wzrokiem pełnym zgrzyoty w kąt plotu na krzewiące się tam zielsko. Nie znajdowało się w miejscu tym nic godnego uwagi — Andrzej, ów Andrzej tak mało obecnie podobny do przystojnego ongiś młodzieńca, z ostrą linią ust nachyloną ku dołowi, siecią zmarszczek u oczu i posiwiałymi skroniami — widział tam swoje troski.

Nie dalej jak parę godzin temu powrócił z dość dalekiej drogi, odwołując żonę, Monikę, do zakładu dla nerwowo chorych. Nie wiodło mu się, Monika od urodzenia pierwszego dziecka, ośmioletniego obecnie Jurka, chorowała. Pogodził się z tym jakoś, kochał ją przecie. Największe natomiast zło rozpoczęło się po śmierci trzyletniej Urszulki.

Oczy Andrzeja Niegodnickiego widzą wyraźnie na tle tulącej się do plotu zieleni jasną główkę swego dziecka, złożoną już spokojnie na śmiertelnym wezglowiu. Ach, uczynił wszystko, co tylko można było uczynić. Nie brakło doskonałych lekarstw, dobrej opieki lekarskiej. Przesilenie groźnej, dziecięcej choroby minęło, ono samo znalazło się już poza niebezpieczeństwem — a jednak umarło! Biedna Monika, biedna jego żona. Nie mogła się w placu utulić dzień i noc, biegała na cmentarz w deszcz i chłód aż wreszcie zapadła w łagodną, tak samo jak sama była łagodną, obłąkanie... I oto trzeba było biedaczkę odwieźć... Ach, cóż z dostatków, w które opływa... — Oczy Andrzeja przeniosły się na chwilę na terkozczący, pilnie pracujący młyn — cóż z tego wobec tej pustki w domu...

Wzrok jego zapadł w ten kąt w dolinie, kędy brzeg rzeki rozlewający się tu szerzej, pokryty był gąszczem sitowia. I stąd właśnie, z tego zakątka szarawo odznaczającego się wśród pól, niby błysk spadło na Andrzeja Niegodnickiego przypomnienie — któż to chodził kiedyś po uliczkach rozciągającego się tam z boku, na wzgórze miasteczka, w cichym obłąkaniu?... Przedwcześnie stara, w podartej odziedzy kobieta, wystawająca często tam... i tam właśnie nawołująca swe dziecko...

Nagły dreszcz wstrząsnął piersią Andrzeja — lęku, czy przerażenia. Zerwał

się, by opaść po chwili ciężko na ławkę z powrotem. Oczy nie mogą się oderwać od miejsca, gdzie rzeka rozlewa się szerzej, odbijając świetliście blask nieba...

Z małego ogródka wysuwa się siwa staruszka, opierając się ciężko na lasce. To ciotka. Ona to właśnie mówiła do niego kiedyś — co mówiła?...

„...Krzywda odskakuje zawsze, trafiając w jej sprawcę jak celny cios”...

„...Bóg liczy czyny ludzkie”...

Andrzej Niegodnicki nie rozumie, co mówi do niego jego synek, ładny, pyzaty chłopczek. Przybiegłszy drogą od młyna, opowiada, jak w mlynie znalazł dziś dwa śliczne małe kociaki, które jeszcze są ślepe. I jak kotka Kaśka opiekuje się nimi troskliwie.

Tak dziwnego tatusia Jurek jeszcze nie widział. Ojciec nie odpowiada mu zupełnie, lecz zapatrzony jest gdzieś daleko, a oczy jego rozwarły są szeroko...

Od młyna idzie kulawy Wojciech. Siada na ławce, utyskując głośno na groblę — tamę, gdzie zapory są już prawie do niczego, słabe zupełnie i — bogać tam — nie chce mówić już więcej, ale nie oprą się one już silniejszej wodzie! A tu — na zmianę pogody się zanosi, bo wrony się dra, koguty pieją, a te chmury tam, na południu są jakby potwierdzeniem niepokoju zwierząt, nic dobrego one nie wróżą... Oto jak szybko płyną — broń Boże od jakiej nawalnicy!

Grobla — Andrzej wraca wreszcie do siebie — tak, tak, istotnie, należało o tym pamiętać! Tyle wszakże ostatnio przeżywał, tyle przeszedł ciężkich zmartwień, że odkładał ciągle na później wykonanie tego, co było naprawdę ważne — wzmocnienie tamy.

Burza zaś istotnie nadbiegała jakby na skrzydłach — rozpętała się gwałtowna, szalejąca, jedna z tych jakie zdarzają się rzadko — wichur potrzasał światem z niebywałą gwałtownością, więc drzewa w ogrodzie zginały się do ziemi, okiennice z hukiem uderzały o ściany. Na szyby wylewały się ze skołtunionych chmur istne strumienie wody, wylewały się zresztą wszędzie, że świat wyglądał jakby za mglistą zasłoną. Grom uderzał za gromem.

Przeszła godzina, chmury tam w górze starły się z sobą, ulewa nie ustawała.

Mały Jurek, stojąc przy oknie, przyglądał się rozszalałemu żywiołowi. Nawalnica uczyniła wielkie szkody. Drzewa w ogrodzie odarte są z niedojrzałego jeszcze owocu. Wichur zerwał daszek z przybudówki. Zaś ze wzgórz spływają w dolinę liczne, nagle powstałe strumyki. Rzeka wezbrała już, wzbiera dalej gwałtownie, rośnie wprost w oczach. A zaś struga przy mlynie wylewa się poza przekop, u którego końca, przy grobli, w deszczu i wietrze pracują w wielkim pośpiechu ludzie — starają się umocnić stare, zmurszałe zapory.

„Woda to żywioł okrutny — tak właśnie mówi w tej chwili do kogoś tam w kuchni Anna — tylko patrzeć jak groblę przerwie i runie na młyn...”

Woda runie na młyn, a tam, w pod-schodziu, leżą sobie za workami dwa małe kociaki...

Chłopiec zrywa się z miejsca i wybiega z domu, jego błękitna bluzeczka widnieje przez chwilę na drodze do młyna. Schodzi z pośpiechem po wąskich stopniach do najniższej części młyna, gdzie tuż pod podłogą huczy spieniona woda, napierając gwałtownie. Młyn dygoce i drży, jakby w przerażeniu przed tym, co ma nastąpić...

Tam zaś, przy grobli, rozlega się nagłe wielki krzyk. Woda zerwała zapory! Pędzi, szaleje, bulgoce — okrutna, spieniona, żółta podbiega chyżo i zdradliwie wielką falą pod młyn...

Małego Jurka znalazłono w parę dni później w kąciaku, w podschodziu. Do swej piersi drobnej, w której od wielu godzin serduszko już bić przestało, tulił dwa małe kociaki...



CHCĘ BYĆ PIĘKNA

NADMIAR SŁOŃCA

Włoskie przysłowie mówi, że „gdzie słońce nie wchodzi, tam wejdzie lekarz”. O zbadanym działaniu promieni słonecznych na nasz ustrój i zdrowie nie potrzeba nikogo przekonywać, ale istnieje inne przysłowie mówiące: „że co za dużo, to niezdrowo”. A więc i promienie słońca trzeba stosować z umiarem. Jak należy się opalać pisałam już poprzednio, lecz warto przypomnieć co robić jeśli przeholowaliśmy dawkę napromieniowania słońcem i teraz cierpimy z powodu zaczerwienionej, oparzonej skóry. Przede wszystkim nie wolno skóry zaczerwienionej na słońcu myć wodą — przemywać ją trzeba oliwą, lub natłuszczać wazeliną dotąd do-

póki nie zniknie uczucie palenia. Stary, ludowy sposób, zresztą naprawdę skuteczny, poleca zwilżanie oparzonej skóry zsiadłym mlekiem, lub śmietanką, łagodzi pieczenie i zapobiega tworzeniu się pęcherzy. Jeśli już jednak pęcherze powstały, nie trzeba ich przebić, łatwo bowiem o zakażenie skóry. Na pęcherze stosujemy zasyпки z talku, lub w braku talku, ze zwykłej mąki kartoflanej. Skóra oparzona promieniami słonecznymi przy takiej pielęgnacji zwykle po dwóch trzech dniach wraca do normy, jedynie często następuje, już niebolesne, złuszczenie się naskórka. Gorsza sprawa, jeśli po nierozsądnym nagrzewaniu się na słońcu, szczególnie bez nakrycia głowy, wystąpi udar słoneczny. Objawami udaru słonecznego są silne bóle i zawroty głowy, podniesienie się temperatury ciała, często występujące z dreszczami, i wymioty. Przy udarze słonecznym chłodnego należy umieścić w chłodnym zacienionym miejscu, na głowę kłaść zimne okłady z wody, lub lodu, podawać do picia duże ilości płynów, herbatę, wodę z sokiem, lub wodę lekko osoloną. Jeśli w ciągu doby, od wystąpienia objawów udaru, chory nie czuje się lepiej musimy się nawet zwrócić o pomoc do lekarza.

BEATA

DBAJMY O NASZE RĘCE

Z rąk można podobno odczytać wiele. Tak przynajmniej twierdziły nasze babki, udające się często w sprawach wielkiej wagi do słynnych wróżbitów, przepowiadających przyszłość z ich dłoni. Ale nawet człowiek nie obeznany z wiedzą tajemną może na podstawie wyglądu rąk odgadnąć charakter pracy, a czasem nawet upodobania.

Wiadomo, że praca fizyczna wpływa na kształt ręki, pogrubia ją, nadaje charakterystyczny kształt palcom. Ciągłe stykanie się z niektórymi substancjami powoduje także zmianę koloru paznokci: sublimat barwi je na szaro, nadmanganian potasu na brązowo, a wszelkie lakiery i zmywacze na żółto.

Czasem jednak zmiany spowodowane są nie wykonywaną pracą, a chorobą.

Aby je usunąć, trzeba się leczyć u dermatologa lub internisty.

Brzydkie ręce może spowodować jednak także nasze własne lenistwo. A przecież, jak twierdzą Francuzi, „wiek kobiety poznaje się po jej rękach”.

Myć ręce trzeba bardzo często, kilka razy dziennie ciepłą wodą i dobrym przeluszczo-

nym mydłem. Do oczyszczenia paznokci służy specjalna łopatką. Gdy jej nie mamy, wystarczy pilnik, którego ostro zakończonym końcem usuwamy brud i kurz gromadzący się pod płytką paznokcia. Szczotka nieźbył ostra, ręcznik za to szorstki i suchy — oto nasze przybory.

Pamiętajmy, że dbałość o ręce jest spowodowana nie tylko tym, że chcemy, aby były zawsze ładne, ale także i dlatego, że przez uszkodzony naskórek dostają się do naszego organizmu bakterie chorobotwórcze.

Aby zapobiec starzeniu się rąk, stosujemy krem lacytylowy, wmasowując go w dłońe ruchami takimi samymi, jak przy wciąganiu nowych i ciasnych rękawiczek. Jeżeli ręce nabrzmiewają, unośmy je często do góry, trzepocąc przy tym palcami.

Przy bardzo zniszczonych i wysuszonych dłoniach świetne wyniki dają cotygodniowe kąpiele w tranie albo ciepłej oliwie. Po takiej kąpieeli starannie trzeba przemyć ręce wodą i mydłem.

Nie można myśleć o starannym utrzymaniu rąk bez dbałości o wygląd paznokci. Powinny być one lekko zaróżowione, starannie obcięte i opilowane, z wyciętą naokoło skórka. Lakiery powodują jednak ich lamliwość. Dlatego też dobrze jest od czasu do czasu robić przerwę w malowaniu paznokci i moczyć je w tym czasie codziennie w ciepłej oliwie i wcierać w ich nasadę sok cytrynowy. Te same zabiegi stosujemy także gdy paznokcie „kwitną” z tym, że jednocześnie mocno je masujemy.

Nie wszystkie kobiety mogą sobie pozwolić na cotygodniowy kilkunastozłotowy wydatek na manicure. Tym podajemy, w jaki sposób można go zrobić w domu: paznokcie opilujemy, nadając im kształt owalny lub wydłużony. Nożyczkami posługujemy się rzadko i to tylko, aby je skrócić. Stary lakier usuwamy za pomocą acetonu. Jest on jednak dla paznokci bardzo niezdrowy, dlatego znacznie lepszy sposób — to posmarowanie paznokcia świeżą warstwą lakiery i natychmiastowe jego starcie wata. Ręce należy umyć bardzo dokładnie i wymoczyć w ciepłej wodzie z mydłem. Po wytarciu rąk odsuwamy skórki paznokcia paleczką i wycinamy nożyczkami o zaokrąglonych końcach lub specjalnymi cążkami. Potem już tylko nakładamy lakier. Pamiętajmy, że ciemny kolor wymaga wielkiej dbałości o ręce, dlatego bardziej praktyczny jest jasnoróżowy, dobrany jednak odzieniem do szminki, której używamy.

MARIA

POEMAT ŻNIWNY

„A gdy przyjdzie żniwo, powiem żencom: zbierzcie najpierw kąkol i powiążcie w pęki na spalenie, pszenicę złóście do gumna mego” (Mat. 13. 24—30)

1.

Na naszym polu wzeszedł kąkol
I ktoś zaplenił bujny chwast.
Wróg to uczynił. Pozwól Panie,
Nim żniwobrania przyjdzie czas,
Wyrwać z korzeniem chwast i kąkol
Lecz Pan łagodnym gestem rąk
Powstrzymał uczniów gniewny zryw
Nie byście rwali kąkol, niszcząc
Pszeniczny kłos, niech z chwastem
rośnie
Do czasu nadchodzących żniw.

2.

I nastal żniwny lipca czas.
I złyby potop splywa z nieba
Za sinym horyzontem las
Jak słodka obietnica chleba...

I jak łagodny zapach traw
I szumią lany pływach kłosów
W oddali w srebrnych łuskach staw
A wieś już pełna jest odgłosu.

Idąc przez pole chwytam kłos
Jak bujnie wyrósł tego lata
I chwałąc Pana, śpiewam w głos,
I polnym kwiatem pieśń przeplatam.

Bo w kłosach słodki chleba smak
Bo w kłosach zapach ziemi twojej.
Nad nią niebieski nieba szlak
Dojrzało lipcem lato moje

I w każdym ziarnie mądrość Twoja
W błogosławieństwie żniwnych dni
Więc na Twą chwałę niech pieśń
moja
Dziękczynną pieśnią polskiej wsi

Splata dziś Tobie z kwiatów
wieniec.
Za nieba blask, za wiatr i śnieg
Pod którym ziarno jako w cieniu
Bezpiecznym czas ochronny strzegł.

3.

Chwała gospodarzowi nieba,
Gdy tęczą wieńczył żniwny czas
I kłosem pełnym woni chleba,
Którym jak hojnie darzysz nas.

Chwała skrzypiącym, żniwnym
wozom.
Stodołom, w których złoty próg
Bogactwo żywej ziemi zwiozą
Z pobliskich pól, z pobliskich dróg.

4.

Na moim polu wzeszedł kąkol.
Posiał go grzechu mego chwast.
Jakie więc żniwo moje, Panie?
W pogodny lipca żniwny czas.

Czyli nie zdążył skruszyć pychę
Wyplenić zwiędły kąkol zła.
Jak to się stało, że choć światłość,
W ciemności dusza moja trwa.

O, wypleń chwasty z mego życia.
Skrusz grzechy, niszczyć ziarna zła.
Niechaj w światłości Twej
dojrzewam
W błogosławieństwie hojnym dnia.

— — Już dzień się ma ku
wieczorowi
I drogi gęsta kryje mgła.
Pozostań ze mną... niech Twa
światłość
Jak płomień wiecznej lampki trwa...

JÓZEF BARANOWSKI

WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE

WARSZAWA, ul. Szwoleżerów 4

przyjmuje kandydatów do stanu duchownego

Ci, którzy pragną poświęcić się służbie Bożej w Kościele Polskokatolickim, winni przesłać pod adresem Kurii Arcybiskupiej w Warszawie, ul. Wilcza 31, podanie dotychczas doń:

1) życiorys, 2) metrykę urodzenia, 3) świadectwo szkolne, 4) świadectwo lekarskie, 5) trzy fotografie.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Kawaler z Łodzi. Szkoda, że nie podał Pan swego adresu. Redakcja dałaby Panu odpowiedź listownie. Nie wszystkie bowiem tematy nadają się do omawiania na łamach „Rodziny”.

W Łodzi są dwie nasze parafie (przy ul. Limanowskiego 60 i przy ul. Zeromskiego 56). Prosimy udać się do któregoś z księży proboszczy i oni Panu pomogą przygotować się do sakramentów św., jak również zaopatrzyć w literaturę o tematyce religijnej.

Ze swej strony gorąco Panu polecamy nasze wszystkie wydawnictwa książkowe i broszurowe, a szczególnie następujące: 1. Ziarna Boże - 16 zł; 2. Przez Maryję do Jezusa -

10 zł; 3. O Kościele Jezusa Chrystusa - 3 zł; 4. Katechizm Kościoła Polskokatolickiego - 6 zł; 5. Dziecię z Betlejem - 8 zł; 6. Zbuduję Kościół mój - 4 zł; 7. Wierzę w Kościół Katolicki - 4 zł; 8. Zarys dziejów papieżstwa - 20 zł; 9. Od celibatu do cudzołóstwa - 3 zł; 10. Biblijne podstawy papieżstwa rzymskiego - 4 zł; 11. Sakrament Chrztu św. - 4,50 zł; 12. Sakrament Pokuty - 4,50 zł; 13. Sakrament Bierzmowania - 4,50 zł; 14. Sakrament Eucharystii - 4,50 zł; 15. Idea Kościoła Narodowego w literaturze polskiej - 5 zł; 16. Kulisy nieomyślności - 5 zł; 17. Teologia Moralna - 10 zł; 18. Teologia Moralna. Sakramenty - 20 zł; 19. Traktat o Trójcy św. - 10 zł; 20. Rocznik Teologiczny 1961 r. - 25 zł; 21. Homiletyka - 10 zł; 22. Wstęp Ogólny do Pisma św. - 10 zł; 23. Szczegółowy wstęp do Pisma św. część I - 30 zł; 24. Szczegółowy wstęp do Pisma św. część II - 30 zł; 25. Jam jest Dobry Pasterz - 10 zł; 26. Jezus Światłością - 10 zł; 27. „Rytuał” - 250 zł.

TEATR

Zdawało mi się, że to tylko dzikie wino. Zawsze trochę ukruszone i bardzo małe. A białe ramy jakby nie istniały w góle. I wyglądało to tak, właśnie przez dzikie wino. Widać jednak przez nie zupełnie dobrze całe podwórko. Naprzeciw jest duży dom, żeby wejść do czegoś takiego konieczne są schodki. Zbudowano więc ich dużo i teraz schodzi po nich krzeselko. Cztery białe nóżki ma do góry, a schodzi na dwóch - te dwie są niezbyt duże i mają podkolanówki. Ponieważ przed chwilą schodził tędy mały fotelik w takich samych podkolanówkach, otworzyłam jedną szybkę. No tak, było ich dużo, kilka nierównych rzędów czekało na coś. Najwidoczniej dotyczyło to drewnianej szopy. Wprawdzie była zamknięta, ale wiem, że bardzo lubiliście tam się bawić. Zresztą coś w niej szumiało. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że ucihło - najpierw, a potem zaraz zobaczyłam, że jesteście wszystkie, i że jakby nigdy nie otwieracie bramę od ulicy. Normalnie nie wolno ci tego robić beze mnie, ale wtedy zanosilo się na coś ważnego a w dodatku była tam też ta twoja. No wiesz - ona miała takie białe warkoczki, wyglądały jak długie splecione nici. Wprawdzie były to bardzo długie warkoczki, ale czubek Twojej główki jeszcze ich nie dotykał.

Na pewno martwiłby mnie ten późniejszy spokój, gdyby nie krzeselka. Musiały przecież na coś czekać. Odeszłam na chwilę od okna, a kiedy wróciłam, drewniana szopa znowu huczała, a ja musiałam zamknąć małą szybkę. Nie bardzo wiedziałam na co one czekają. Siedziały na krzeselkach, zupełnie prosto, też patrzyły na drewniane drzwi. To były mamy - one często do mnie przychodziły, bo po coś były im potrzebne twoje małe koleżanki. A teraz siedziały tutaj tak jakby nie czekały na nie żadne inne sprawy i były zupełnie poważne nawet wtedy kiedy już się zaczęło. Sama się przekonałam, że ta z warkoczami miała najwięcej roboty. Zapowiadała każdy numer, a potem musiała szybko się przebieierać.

Nie mogłaś sobie poradzić z moją spódnicą, zrobił się w niej bardzo długi ogon, który często zahaczał o Twój sandał - no i zawsze wtedy łamał się takt kujawiaka. Zresztą może nie tylko dlatego. Trochę był winny Twój chłopiec, bo to chyba chodziło o chłopca, wprawdzie nie udało się schować pod czapkę wszystkich warkoczy, ale spodnie miał ze skórzanym paskiem. A ponieważ był duży Twoja rączka podnosiła się bardzo wysoko i wtedy jedna nóżka gubiła takt.

Potem publiczności trochę przybyło. Na jednym krzeselku usiadłam ja, a na drugim posadziłam Zośkę - Zośka, jak ci wiadomo, jest kotem.

U. BIAŁECKA

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1. Zabił Goliata; 4. Np. wróble; 7. Imię sławnej śpiewaczki; 8. Naczynie kuchenne; 9. Sucha trawa; 10. Naczelna Organizacja Techniczna; 11. Imię żeńskie; 12. Siostra Balladyny; 17. Rodzicielka; 20. Piękna; 23. Rejonowa Komenda Uzupelnień; 24. Głupiec; 25. Służy do drażenia; 26. Pramatka (wspak); 27. Huragan; 28. Imię żeńskie potocznie.

PIONOWO: 1. Liryczny utwór; 2. Rzeka w Polsce; 3. Bogini łowów; 4. Smar; 5. Sławny mistrz lutniczy; 6. Imię żeńskie; 12. Zabawa; 13. Potwierdzenie krótko; 15. Jednostka pieniężna Italii; 16. Część twarzy; 17. Służy do mycia; 18. Miasto w zagłębiu brunatnego węgla; 19. Sznur z pętlą, używany do chwytania bydła; 20. Zawór; 21. Zbiór map; 22. Działalność - postępowanie.

Anegdoty

Kiedys spytano Shawa:

- Co to jest sąd?
- Sąd - odpowiedział Shaw - jest to zespół ludzi, ustalający, która ze stron ma lepszego adwokata.

Na przyjęciu obok zasłużonego profesora siedzi uroczą młodą damą. Ponieważ profesor nie kwapi się z rozpoczęciem rozmowy, dama pierwsza zwraca się do niego:
- Czy pamięta pan, profesorze, że dwa lata temu prosił pan mnie o rękę?
- Hm! Prawda. Ale czy pani się zgodziła, czy nie?

Tristan Bernard objaśniał w gronie przyjaciół, jak należy prowadzić wykłady. Na zakończenie powiedział:
- Po skończeniu trzeba pięknie ukłonić się publiczności i wyjść na palcach.
- Dlaczego na palcach? - pyta ktoś z obecnych.
- Żeby nie obudzić publiczności - dodaje Bernard.

Znany przed wojną śpiewak zrobił po koncercie inspicjentowi awanturę.
- Dlaczego on się awanturuje? - spytał inspicjenta młody śpiewak, który akurat nadziedził.
- Bo dostał tylko 10 bukietów.
- Jeszcze mu mało - z zazdrością mruknął młodzian.
- Tak, bo zapłacił za 12 bukietów.

Leciwy bankier, o dość okazalej tuszy, a niepozbawiony humoru - w czasie przejażdżki łódką po jeziorze w pewnym momencie rzekł do swej uroczej i młodej towarzyszkii:
- Gdybyśmy wpadli do wody, ryby miałyby z nas smaczną ucztę.
- A do kogo najpierw dobrałyby się? - zaśmiała się dama.
- Zależy. Zarłoki do mnie, natomiast smaczkość dadzą pierwszeństwo pani - z galanterią odparł bankier.

Chirurg, architekt i polityk sprzeczali się czyż zawód jest starszy.
- Mój - powiedział chirurg. - Przypomnijcie sobie operacje, jaką trzeba było przeprowadzić, aby wyjąć żebro Adamowi.
- Nieprawda. Mój jest starszy - odparł architekt - bo najpierw trzeba było zbudować świat.
- Ależ panowie - przerwają polityk. - A kto zrobił chaos?

Działło to się jeszcze przed I wojną światową. Pewien kamienicznik, kiedy wracał do domu noca dawał stróżowi kopiejkę za otwarcie bramy. Ta znikoma suma irytowała stróża i którejś nocy nie wytrzymał:
- Ależ, szanowny panie, nawet pański syn daje więcej: dziesiątkę, a czasami złotówkę.
- Mój syn, mój syn! Tak? On może, on ma bogatego ojca.

SIERPIEŃ

N	12	IX po Zesł. Ducha Św., św. Klary
P	13	św. Hipolita
W	14	św. Euzebiusza, św. Kaliksta
S	15	Wniebowzięcie NMP
C	16	św. Joachima, św. Rocha
P	17	św. Jacka, św. Julianny
S	18	św. Agapita św. Heleny

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Redaktor Naczelny - Ks. mgr Tadeusz Gorgol. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 8-87-84; 21-74-88. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-14-147290 - Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”. Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrócie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. Cena prenumeraty: kwartalnie - 21 zł, półrocznie - 42 zł, rocznie - 84 zł. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa. Konto Nr 1-14-147290. Czytelnicy poza granicami kraju mogą zamawiać tygodnik „Rodzina” za pośrednictwem: Przedsiębiorstwa Eksportu i Importu „Ruch” Warszawa, ul. Wilcza 46; prenumerata roczna dla Europy wynosi: 7 \$, 19,79 DM, 23,40 NF 1.13,6 L; prenumerata roczna dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 \$; prenumerata roczna dla Australii 210,5 ZA i 20,4 LE.

Zakłady Włókiendrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72, Zam. 1203. H-16.

PIĘKNO PIENIN

„Kto raz tam był, zawsze będzie wracał” – powiedział mi mój znajomy, gdy mu oznajmiłem, że urlop spędzić mam zamiar w Pieninach. I rzeczywiście. Piękno natury uwiadacza się tam „w całej swojej krasie”.

Pieniny sławę swoją zawdzięczają wielkiej osobliwości przyrodniczej, jaką jest przełom Dunajca przez skały pienińskie. To jeden z najpiękniejszych zakątków Europy, ściągający turystów z wielu krajów świata.

Przepaściste ściany skalne, wspaniały wąwóz rzeczny tworząc liczne, kapryśne wijące się pętle i zakola – wszystko to wywiera na turyście niezapomniane wrażenie.

Na dodatek spływy Dunajcem odbywają się specjalnymi łodziami góralskimi. Są to czółna zrobione z jednego pnia drzewnego, podobnie jak dawne indiańskie kanoa. Poza Pieninami można znaleźć dziś takie czółna chyba tylko na rzekach głębokiego ładu afrykańskiego lub na dalekich wodach Pacyfiku.

Czółna te wiąże się ze sobą po dwa lub trzy, a kieruje nimi dwóch flisaków za pomocą trzymetrowych żerdzi świerkowych.

Spływ zaczyna się w Czorsztynie albo w Sromowicach Niżnich. W pierwszym przypadku długość trasy wynosi 24 km. W drugim, na długości 9 km, rzeka tworzy aż siedem ostrych zakrętów i trzy duże zakola, i to przy odległości w linii prostej zaledwie 2,5 km!

Odcinek z Czorsztyna do Sromowic Niżnich jest nieco monotony. Ma on jednak swoje uroki. Na przeciwległych wzniesieniach, przedzielonych rzeką, stoja dwa wrogię ongiś zamki. Wydaje się, że są to dwaj czujnie przyglądający się sobie przeciwnicy. To ruiny zamku w Czorsztynie i dobrze do dziś zachowany zamek w Niedzicy.

Zamek w Czorsztynie, wzniesiony u wylotu ważnego szlaku na Węgry, miał bronić południowych granic Rzeczypospolitej. Pod koniec XIV wieku władał nim sławny rycerz Zawisza Czarny. Trzy wieki później bronili się w Czorsztynie Aleksander Kostka Napierowski, przywódca powstania chłopskiego na Podhalu.

Z zamku w Niedzicy zachował się duży fragment budowli, która jako zabytek, znajduje się pod ochroną. Przebywają tu polscy artyści i uczeni, aby badać dzieje przeszłości, poznawać i odtwarzać piękno tej ziemi.

Za wsia Sromowice Niżnie odslania się w całej okazałości wspaniały masyw

Lilla złotogłów



Z zamku w Niedzicy zachowały się dawne mury

Trzech Koron. Właściwy przełom zaczyna się tuż za Czerwonym Klasztorze gwałtownym skretem w prawo. Wpływamy we wrota Pienin. Koryto rzeki ścieśnia się znacznie. Łódź wydaje się bardzo mała na tle przepaścistych ścian.

Najwyższy odcinek rzeki nazywają górale „Zbójnickim Skokiem”. Znajdujący się na skale ślad miał być miejscem, z którego zbójnicy odbijali się w skoku przez rzekę. Kandydaci na zbójników, którzy prosili o przyjęcie do „towarzystwa”, musieli przeskoczyć Dunajec, aby dowieść swej sprawności fizycznej.

Nieco dalej znów silny zakręt.

Zbliżyliśmy się do groźnego punktu w przełomie. Przed nami trójkątne skały, wyglądające jak stojące rzędem zakapturzone postacie ludzkie. Nazwano je też Mnichami. Tu rzeka gwałtownie skręca, unosząc wórkim nurtem łupinę łodzi wprost na zagrażającą drogę potężną ścianę skalną. Turystów ogarnia strach, czy nie rozbiją się za chwilę, ale wystarczy jeden wprawny ruch przewodnika długą żerdzią i już niebezpieczeństwo zażegnane. Nikt nie potrafi określić, w którą stronę popłynie teraz łódź. Flisacy proponują odgadnięcie i robią zakłady z turystami.

Teraz miejsce najbardziej niebezpieczne: Facimiech. Pod ścianą skalną łódź skręca w zupełnie niespodziewanym kierunku. Jeszcze mały pokaz zręczności flisaka i nurt łagodnieje, brzegi obniżają się i odchodzą na boki, rzeka rozlewa się szeroko. Napięcie nerwów spada. Oto „Nowy Świat” – jak nazywają ten odcinek górale.

Za ujściem Potoku Pienińskiego wylania się dostojna matka Pienin – Sokolica, wznosząca się do 982 m. Stąd odslania się urzekająca panorama Tatr. Przytulone do niej, wyrastają z nad wody skały: Kazalnica i Głowa Cukru. Jakież wydają się małe wobec wyniosłej strzelistej Sokolicy.

Jeszcze jeden zakręt bijący falą o stojącą samotnie skałę Sama Jedna, a potem w ścianę Wylizanej. Przy Hukowej Skale przełom kończy się. Łódź wpływa na spokojną już tafel wody. Za chwilę Szczawnica i koniec emocji.

Pieniny interesują nie tylko turystów, ale też i przyrodników.

Zachowało się tutaj wiele okazów roślinnych z dawnych epok. Między innymi słynny złocien Zawadzkiego, nie występujący w Polsce nigdzie poza Pieninami. Występują tu również rośliny stepowe z okolic południowo-wschodniej Europy, a także roślinność wysokogórska. Las pieniński składa się głównie z buków, jodeł i świerków. Rosną tu także sosny i modrzewie.

W 1932 roku utworzono w Pieninach Park Narodowy. W tymże roku u naszych południowych sąsiadów powstał Słowacki Rezerwat Przyrodniczy w Pieninach. W ten sposób powołano pierwszy w Europie międzynarodowy park przyrody.

Po wojnie wznowiono prace nad dalszym urządzeniem parku. Dziś zjeżdżają tu liczni turyści, by podziwiać niezwykle piękno pienińskiej przyrody.



Dostojna matka Pienin – Sokolica



Widok z Sokolicy na przełom Dunajca

Złocien Zawadzkiego można spotkać tylko w Pieninach

